

Syreny u steru

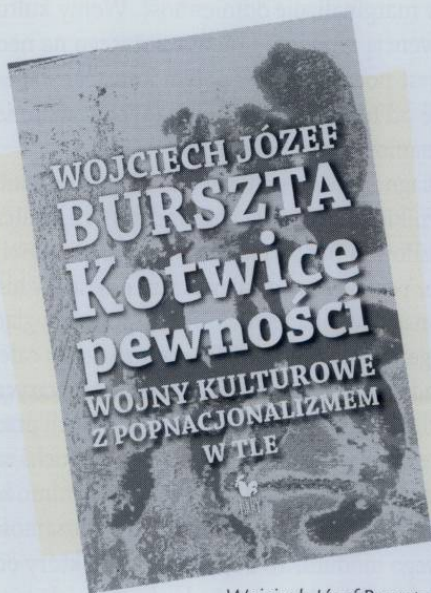
Adam Komorowski

Odyseusz – pomny, że „kto nieświadom zbliży się i posłucha głosu Syren, temu nie wrócić do domu (...) a na wybrzeżu pełno jest kości tych, co słuchali ich głosu” – nakazuje towarzyszom, by przywiązali go do masztu, a im samym zalepia uszy woskiem. Sztuczka ta pozwala mu na wystuchanie zniewalająco pięknego śpiewu syren bez ryzyka bycia uwiedzonym (i zjedzonym).

Kiedy dokładnie przyglądnijemy się homeryckiej opowieści, dostrzeżemy, że sytuacja Odyseusza była korzystniejsza aniżeli współczesnego badacza „syrenich śpiewów”. Odyseusz został przed Syrenami ostrzeżony, określone było miejsce, znani nadawcy i czas nadawania. Przepłynąwszy obok wyspy Syren, mógł mieć niebezpieczeństwo uwiedzenia śpiewem/kulturą z głowy. Dziś Syreny czają się wszędzie. Nie przepływamy obok wyspy Syren, ale jesteśmy na kontynencie Syren.

Wojciech Józef Burszta odniósł się do tej sytuacji w tytule poprzedniej książki: *Świat jako więzienie kultury*. Na szczęście nasza sytuacja (i antropologa) nie jest do końca beznadziejna, ponieważ Syreny się namnożyły i muszą się przekrzykiwać. Polifonia (choć może należałoby powiedzieć kakofonia) syrenich śpiewów bywa doskwierająca, ale jest także szansą. Pozwala na chwilę zastanowienia, na to, co Burszta nazywa „pomyśleniem”. Jak pisze w swoim nowym zbiorze „pomyśleń” *Kotwice pewności. Wojny kulturowe z popnacionalizmem w tle*: „W Polsce ostatniej dekady w okopach bojowych usadowiły się ogromne rzesze walczących – od polityków, księży i samozwańczych proroków, po tłumy popnacionalistów, a w okopach naprzeciwko – liberalnie lewicowo myślący »rewizjoniści« narodowej mitologii”. Jakkolwiek pisze, że „pomyślenia” zebrane w tym tomie stanowią „z definicji niedokończony fresk antropologiczno-kulturoznawczy”, ma na myśli raczej mapę.

Kłopot z przedstawieniem jakiegokolwiek mapy „antropologiczno-kulturowej” terazniejszości polega na tym, że jej badacz, czy chce, czy nie chce, jest zmarginalizowany. Żyjemy bowiem w świecie, w którym dyskurs został zmonopolizowany przez media. Z reguły opacznie odczytywany José Ortega y Gasset był tym myślicielem, który



Wojciech Józef Burszta
Kotwice pewności

Wojny kulturowe z popnacionalizmem w tle

Warszawa : „Iskry”, 2013

311 S. ; 21 CM. – Zł 39

316.7

zwrócił uwagę na przejście kreowania autorytatywnego obrazu świata od uniwersytetów przez media (on sam mówił wtedy o prasie). Dla Ortegi, podobnie jak dla Karla Krausa, wzorcem „człowieka masy” był właśnie człowiek mediów, dziennikarz lub naukowiec występujący w roli medialnego eksperta oferującego opinię jako towar. Człowiek usiłujący się rozpoznać, ogarnąć współczesną mu kulturę, jest skazany na nieustanną oscylację pomiędzy obrazem kultury kreowanym przez media i własne doświadczenie codzienności. Kody medialne i kulturowe kody codzienności ulegają ciągłemu przemieszaniu. Na pytanie, co obraz codzienności w popularnym serialu mówi nam o rzeczywistości, trudno jest odpowiedzieć. Ale nie jest tak, jak sądził Jean Baudrillard, że symulakra kompletnie zastąpiła rzeczywistość. Nikt z oglądających *Na dobre i na złe* nie ma wątpliwości, że realia polskiej służby zdrowia nijak się mają do przedstawionych w popularnym serialu. Nie ulega natomiast wątpliwości, że media dokonują „ramowania”, hierarchizują problemy i konflikty. Problem nie w tym, co media o zdrowiu mówią, ale że czynią ze zdrowia obsesyjny temat. Dawno zapomnieliśmy, że zdrowie w rzeczywistości jest głównie troską chorych. Zdrowi mają dużo innych i ważniejszych dla siebie zmartwień, nawet jeśli media chcą nas przekonać, że jest inaczej.

Piszę tutaj o zdrowiu, by zwrócić uwagę na rozdział pomiędzy obrazem codzienności kreowanym przez media i codziennością życia. Burszta często to podkreśla. Pisze: „Dodajmy jednak, że apokaliptyka XXI wieku jest wielce rozproszona, a dzisiejsze Nowe Średniowiecze kształtowane jest – także dla celów konsumpcji wyrastającej z lęków – przez media”. A także: „Historia pamięci nieodłącznie wiąże się z historią mediów (...) Dominacja elektronicznie zapośredniczonej pamięci kulturowej, połączona z metonimicznie pojmowanymi »miejscami pamięci«, mozolnie tworzonymi przez oficjalne dyskursy państwo-narodowe, nie dokonuje się w społecznej próżni, ale w sytuacji powszechnie orzekanego kryzysu tożsamości, tradycji i linearnej narracji o przeszłości”.

Można się z tym zgodzić, ale jeśli Burszta chciałby pozostać do końca wierny swojemu powołaniu antropologa, nie powinien uchylać się od próby odpowiedzi na pytanie, w jakim stopniu ten „powszechnie orzekany kryzys tożsamości” ma rzeczywiste pokrycie w realiach codzienności jednostki. Przypuszczam, że Burszta – podobnie jak piszący te słowa – nie doświadcza jakiegos głębokiego kryzysu tożsamości jako ojciec, Polak, Europejczyk czy obywatel. Kłopoty związane z odgrywaniem tych ról oczywiście, jak wszyscy, mamy, lecz ich źródłem nie jest kryzys tożsamości, a zażegnanie tego kryzysu nie jest obietnicą ich rozwikłania.

Teza, że obietnica przywrócenia rozmytej tożsamości, jako szczególnie atrakcyjna dla współczesnego człowieka, stanowi oś dzisiejszych dyskursów kulturowych, jest przez Bursztę mocno akcentowana. Zaburzenia tożsamości mają być spowodowane głównie wielokulturowością i globalizacją. Wielokulturowość, multikulturalizm prowadzą do relatywizmu, natomiast globalizacja całkowicie marginalizuje odmiennosc. Wojny kulturowe nie są niczym innym jak tylko konsekwencją nieporozumienia ciężącego na neoliberalnym przesłaniu, że sfera konsumpcji jest podstawowym polem konstruowania tożsamości, pozwalającym na abstrahowanie od tożsamości wyznaczanych rodzinnie, grupowo, etnicznie, narodowo, klasowo, wyznaniowo czy obywatelsko.

Należy jednak zwrócić uwagę, że medialna diagnoza degrengolady indywidualnych lub zbiorowych tożsamości niekoniecznie jest wynikiem zaćmienia cnót rodzinnych, etnicznych, narodowych bądź obywatelskich (jak usiłovali nas przekonać neokonserwatyści), czy też może i powinna zostać odwrócona przez postawienie na pierwszym miejscu w hierarchii cnoty tolerancji (jak usiłuje nas przekonać liberalna lewica). Taki bipolarny ogląd areny współczesnych wojen kulturowych, sugerowany przez media, zapoznaje tło całej sprawy. To problem, który za Güntherem Andersem można określić jako antykwaryczność człowieka współczesnego wobec techniki. Kultura stała się, od czasu rewolucji przemysłowej, barierą ochronną człowieka przed techniką. Nie mamy świadectw o jakichś zawirowaniach tożsamości u średniowiecznych czy renesansowych rzemieślników, mimo że pracowali na różnych dworach w różnych krajach. Pokazuje to, że autentyczna tożsamość może obywać się bez etnicznego czy narodowego modułu. To dopiero dystans, który od czasu rewolucji przemysłowej coraz bardziej oddzielał człowieka Zachodu od dzieła jego rąk, musiał doprowadzić do zawirowań tożsamości.

Można zaryzykować twierdzenie, że rozpad tradycyjnych więzi, zwłaszcza narodowych, wyznaniowych i rodzinnych, był *de facto* o wiele mniejszy, niż konstатовano (bo i dlatego mówi się o nepotyzmie dziś więcej niż kiedyś), i nie on stanowił główny powód zaburzeń tożsamości i podmiotowości. Podstawowe znaczenie dla wstrząśnięcia tożsamościami

miała dehumanizacja techniki. Zaburzenia tożsamości wydają się tak dotkliwie bynajmniej nie z powodu ich uwiadu, ale zadziwiającej zdolności przetrwania w zmieniającym się świecie. W świecie zmieniających się konstelacji politycznych (w XX wieku mieszkaniowiec Czerniowców mógł cztery razy zmieniać obywatelstwo), ustrojów, mód i techniki ludzie zadziwiająco uparcie trwają przy swoich tożsamościach.

Jest jeszcze jeden aspekt, na który zwracał uwagę szczególnie Manfred Lasch, wskazując na narcystyczne tendencje w kulturze współczesnej: zewnątrzsterowność, której towarzyszy potrzeba nieustannego przegładania się, sprawdzania własnej tożsamości. Jest to sytuacja, kiedy podmiot musi poszukiwać tego, co Burszta nazywa „kotwicami pewności”. Wbrew pozorom ostrzeżenia o zagrożeniu „pewności”, którą mocne tożsamości mają gwarantować, przez pluralistyczne i relatywistyczne dyskursy, permissywność – o czym Burszta wiele pisze, zwłaszcza w kontekście oceny kontrkultury i kontestacji – rozmijają się z faktami. Żyjemy bowiem w świecie, w którym granice tolerancji, pluralizmu, relatywizmu zostały wyjątkowo ostro wykreślone. „Obcy” został wyraźnie określony i wskazany. Nie ma on jak dawniej narodowego czy etnicznego znamienia – te są wręcz politycznie niepoprawne i karane. „Obcy” cywilizowanego świata przypomina nieco „trędowatego” w średniowieczu. Ale jest mocniej od niego negatywnie stygmatyzowany. Trędowaty był ze społeczności wykluczony, lecz zaślugał na jałmużnę. Współczesny „obcy”, stygmatyzowany jako „terrorysta”, zostaje postawiony poza miłosierdziem i prawem. Miliony kamer, podsłuchów, „policje – tajne, widne i dwupłciowe” czuwają nad naszą tożsamością, której „obcy” nienawidzi i którą chce zniszczyć.

Niestety strażnicy bezpieczeństwa naszej kulturowej tożsamości cywilizowanych nie potrafią ukoić naszego poczucia zbędności. Dlatego Burszta nie ma racji, kiedy polemizuje (to intrygujący i ciekawy fragment jego książki) ze znanym tekstem Wiesława Myśliwskiego *Kres kultury chłopskiej*. Problem nie polega bowiem na tym, że Myśliwski mityzuje kulturę chłopską. Wskazuje jedynie (podobnie jak Pier Paolo Pasolini czy John Berger), że w kulturze chłopskiej problem zbędnych ludzi niemal nie istniał. Dopiero w cywilizacji technicznej (naszej) pojawia się tak wyraziście. Być może z tego powodu, że tożsamości nasze, wbrew hegemonicznym dyskursom mediów, zmieniają się tak wolno. ☉